

Zgromadzone przeze mnie dane – te suche fakty, daty i nazwy wypisane w metrykach – to nie tylko wpisy w księgach. To echa głosów, ślady stóp na dawno zaoranych miedzach. Patrząc na nie, widzę opowieść, która płynie we mnie. Oto ona.

Epopeja Dwóch Rodów: Gierczak i Ofiara

Wszystko, kim jestem, zaczęło się od dwóch nurtów, dwóch rzek czasu płynących oddzielnie przez ziemię radomską, by po ponad stu pięćdziesięciu latach zlać się w jedno we krwi moich rodziców, a w końcu we mnie. Z jednej strony Gierczakowie z Jaszowic, z drugiej – Ofiarowie z Woli Gutowskiej. Moje oczy patrzą dziś na świat, ale widzą przez pryzmat ich losów, zapisanych ręką księży w parafiach w Cerekwi, Zakrzewie i Jedlińsku.

Nurt Pierwszy: Gierczakowie. Ziemia i upór.

Historia, którą mogę dotknąć, zaczyna się z Tomaszem Gerczakiem, moim trzecim pradziadkiem, urodzonym, gdy Polska znikła z map. Był rokiem 1786. Nie był panem, był robotnikiem rolnym – człowiekiem, którego życie mierzyły wschody i zachody słońca, a bogactwo liczyło się w sile jego rąk. Jego domem były Jaszowice. Ożenił się z Zofią z Gielów, i razem, w prostej chacie, dali początek naszej gałęzi rodu.

Ich syn, Ambroży, urodzony na progu nowego, XIX wieku, to postać, która fascynuje mnie najbardziej. W dokumentach pojawia się zagadka – w akcie ślubu z 1820 roku z Kunegundą Kanią zapisany jest jako „Cobista”. Kim był Cobista? Czy to przydomek, pomyłka pisarza, a może ślad innej, zapomnianej historii? Tego już się nie dowiem. Wiem jednak, że był gospodarzem, człowiekiem z czasów Fryderyka Chopina. Z Kunegundą miał ośmioro dzieci, ale jakże kruche było wtedy życie. Patrzę na akt zgonu małej Katarzyny, która umarła w 1821 roku jako dwudziestodniowe niemowlę. Odeszła o drugiej nad ranem. Czuję chłód tamtej nocy w prostej izbie w Jaszowicach.

Linia Ambrożego płynie dalej przez jego syna, Karola, mojego prapradziadka. To on przeniósł rodzinę do Gulinka, wsi, która miała stać się sceną spotkania dwóch rodów. Tam, z żoną Teklą z Kozyrów, doczekał się syna Pawła – mojego pradziadka.

Paweł, urodzony w 1867, pojął za żonę Katarzynę Czerwińską. Na ich akcie ślubu widnieje notatka, że rodzice Pawła mieszkali tymczasowo w Mleczkowie. Dlaczego? Może praca, może bliskość rodziny panny młodej? Te drobne detale budują w mojej głowie obraz ludzi w ciągłym ruchu, szukających swojego miejsca. Paweł i Katarzyna mieli dziesięcioro dzieci. Dziesięcioro. Jak wiele nadziei i jak wiele strachu musiało towarzyszyć każdemu porodowi. Wśród nich był mój dziadek, Jan, urodzony w 1891 roku.

Nurt Drugi: Ofiarowie. Spryt i przetrwanie.

Po drugiej stronie, w Woli Gutowskiej, swój bieg zaczyna ród Ofiarów. Protoplastą, którego ślady odnajduję, jest Stefan, urodzony około 1793 roku. Parobek, włościanin – jego los był nierozzerwalnie związany z ziemią, którą uprawiał, choć nie była jego. Ze swoją żoną Małgorzatą z Kowalczyków powołał na świat mojego prapradziadka, Jakuba.

Jakub, urodzony w 1833, był już gospodarzem. Jego syn, a mój pradziadek, Andrzej, osiadł w Ludwikowie. Ale to historia jego syna, Józefa, mojego dziadka, jest tą, która wciąż żyje w rodzinnych opowieściach.

Dziadek Józef, urodzony w 1896 roku, był człowiekiem naznaczonym przez historię. Jego pierwsza żona, Rozalia Mitak, zmarła młodo, w wieku 33 lat, zostawiając go z trójką małych synów. W 1926 roku ożenił się powtórnie – z moją babcią, Heleną Sobień. To ona wniosła do rodziny Ofiarów nową siłę, choć i jej nie oszczędził los. Z szóstki ich wspólnych dzieci, aż czworo zmarło w niemowlęctwie. Przeglądałam ich akty zgonu: Józef żył dwa tygodnie, Andrzej tak samo, Genowefa trzy, a Kazimiera półtora roku. To cicha, bolesna litania strat, świadectwo czasów, w których śmierć dziecka była częścią codzienności.

Choć dziadek Józef urodził się w Ludwikowie, to właśnie w Gulinku poznał dwie swoje żony i zdecydował się tam osiedlić. I tak oto dwa nurty znalazły się w tym samym miejscu. A on sam? Pamiętam opowieść o jego sprycie. Gdy zbliżał się front, a Niemcy rekwirowali konie i wozy, dziadek podkuł swojego konia gwoździem. Zwierzę kulało, więc żołnierze uznali je za bezużyteczne i zostawili. Gdy tylko odeszli, dziadek wyjął gwoździć, a koń – jedyne źródło siły pociągowej w gospodarstwie – był zdrow. Ten prosty, genialny fortel uratował rodzinie narzędzie pracy i szansę na przetrwanie.

Zbieg Rzek: Moi Rodzice

I wreszcie oni. Mój ojciec, Józef Gierczak, syn Jana i Agnieszki. Moja matka, Marianna Ofiara, córka Józefa i jego drugiej żony, Heleny. Urodzeni przed wojną, wychowani w trudach powojennej rzeczywistości. Ich ślub w 1952 roku był ostatecznym złączeniem się dwóch rodów. To oni podjęli decyzję, która zmieniła bieg naszej rodziny – opuścili ojcowiznę i przenieśli się do Radomia.

Mój ojciec, syn gospodarza, nie mógł przejąć ziemi, został tokarzem w fabryce „Waltera”. Ziemia przestała być jedynym żywicielem. Pamiętam jego opowieści – jak w latach 50. wpadł do rzeki Mlecznej w drodze do pracy – i jego pokaleczone wiórami, a jednocześnie delikatne ręce. Ręce, które potrafiły precyzyjnie obsługiwać maszynę, a potem konstruować piekarniki i pomagać mi, w sprzedaży odzieży na jarmarku.

Moja mama, Marianna, była sercem domu. Pamiętam jej pogodę ducha i smak domowej kiełbasy, którą robiła. Pamiętam jej opowieści o dzieciństwie, gdy do ojca mówiła „tatuniu”, a największym szczęściem była przywieziona z targu słodka bułka. Pracowała jako sprzątaczką w Starostwie, w pralni, w fabryce kuchenek Blaszanek, a po godzinach szyła, by dorobić – wszystko dla nas, dla dzieci.

Epilog: Ja, Adam. Ognisko Pamięci.

Kiedy byłem małym chłopcem, nie lubiłem jeździć na wieś. Pamiętam jednak zapachy – dymu z pieca kaflowego, nafty z lampy. Pamiętam smak młodych kartofli z kwaśnym mlekiem. Pamiętam dom dziadków Ofiarów, lepszy, bo z drewnianą podłogą, i dom Gierczaków z glinianym klepiskiem.

Dopiero jako licealista, przygotowując się do egzaminów na Akademię Sztuk Pięknych, zobaczyłem tę wieś na nowo. Stała się moim tematem. Rysowałem ołówkiem i malowałem

akwarelami drewniany, kryty strzechą dom babci Heleny. Szkicowałem jej wesołą twarz, gdy siedziała na stołku. Próbowałem uchwycić coś, co, jak czułem, bezpowrotnie odchodziło.

Dziś, gdy patrzę na te rysunki i przeglądam zebrane dokumenty, wiem, że miałem rację. Tej wsi już nie ma. Nie ma tych domów, nie ma tamtych ludzi. Ojcowizna Gierczaków, uprawiana przez pokolenia, trafiła w obce ręce.

Pozostały tylko te papiery i moja pamięć. Opowieść o dwóch rodach, o dwóch rzekach, które przez dekady płynęły osobno, by połączyć się w jedno. Ich siła, upór, spryt i miłość do ziemi płyną teraz we mnie. Jestem ich żywą epopeją. Jestem ich ogniskiem, które wciąż płonie.

Poprzednia opowieść była tylko preludium, pierwszym spojrzeniem na rzekę z brzegu. Teraz czas zanurzyć się w jej nurcie, poczuć jego siłę, wiry i ukryte prądy. Potrzeba wytrwałości, by nie dać się ponieść, by zrozumieć.

To słowo – wytrwałość – wraca do mnie, gdy godzinami wpatruję się w niewyraźne pismo na pośliskim papierze. To nie jest już tylko hobby. To misja. Każdy odczytany akt, każdy nowy wpis w moim cyfrowym archiwum jest jak odnalezienie zagubionego kamienia i wmurowanie go z powrotem w fundament, na którym stoję.

Nurt Głębszy: Szepty Kobiet i Więzy Krwi

Im głębiej sięgam, tym wyraźniej widzę, że epopeja moich rodów nie jest tylko opowieścią o mężczyznach, którzy orali ziemię i płodzili synów. Prawdziwa siła tej sagi, jej cicha, niezłomna wytrwałość, tkwi w historiach kobiet. To one były strażniczkami ogniska, które nigdy nie zgasło. Były kolebką i kotwicą.

Patrzę na Kunegundę z Kaniów, żonę Ambrożego "Cobisty". Urodziła mu ośmioro dzieci, by w 1836 roku, mając zaledwie 36 lat, zostać wdową. W tamtych czasach dla kobiety z gromadką dzieci oznaczało to balansowanie na krawędzi przetrwania. Ale Kunegunda się nie poddała. Już rok później, w 1837 roku, poślubiła wdowca, Mikołaja Remisiewskiego. To nie był z pewnością romantyczny zryw serca, a pragmatyczny sojusz – połączenie dwóch gospodarstw, dwóch par rąk do pracy, by wykarmić dzieci i przetrwać kolejną zimę. Żyła jeszcze szesnaście lat, umierając jako Kunegunda Remisiewska, ale dla mnie na zawsze pozostanie Gierczakową, tą, która zapewniła ciągłość naszej linii.

A potem odkrywam splot losu tak nieprawdopodobny, że wydaje się fabułą powieści. Skupiam się na mojej babci Helenie Ofiara z domu Sobień i jej matce, Ewie z domu Drużdżel. Ewa to postać niezwykła. Najpierw, w 1885 roku, poślubiła Michała Mitaka. Urodziła mu czworo dzieci, w tym Rozalię – pierwszą żonę mojego dziadka Józefa Ofiary. Kiedy Michał Mitak zmarł, Ewa, podobnie jak Kunegunda, została sama. W 1895 roku wyszła ponownie za mąż, za Karola Sobienia. Z tego związku narodziło się sześćro kolejnych dzieci, a wśród nich, w 1905 roku, moja babcia, Helena.

Zatrzymuję się tutaj, bo ta informacja zapiera mi dech. Mój dziadek, Józef Ofiara, poślubił dwie kobiety, które były córkami tej samej matki. Rozalia Mitak i Helena Sobień były przyrodnimi siostrami. Dwa nurty krwi mojej prababki Ewy zlały się w jednym człowieku – moim dziadku. Jego dom w Gulinku stał się przystanią dla obu jej córek. Pierwsza, Rozalia, dała mu trzech synów, moich przyrodnich wujów. Kiedy zmarła w 1925 roku, Józef, powtarzając los wielu

mężczyzn tamtych czasów, musiał szybko znaleźć nową matkę dla swoich dzieci. I znalazł ją w jej młodszej siostrze przyrodniej, Helenie.

To odkrycie zmienia wszystko. Rodzinne więzy, które wydawały mi się proste, okazują się gęstą, splątaną siecią sojuszy, strat i konieczności. Gulinek nie był już tylko wsią – był sceną dramatu, w którym miłość, śmierć i obowiązek przeplatały się w sposób, którego nigdy bym sobie nie wyobraził.

Nurt Współczesny: Od Pola do Fabryki

Ta wytrwałość w walce o przetrwanie na wsi definiowała moich przodków. Ale świat się zmieniał. Moi rodzice, Józef i Marianna, dokonali wyboru, który dla pokolenia ich dziadków byłby nie do pomyślenia. Zostawili ziemię. Zostawili Gulinek. Wybrali miasto. Radom.

Mój ojciec, potomek rolników, którego ręce stworzone były do pracy w polu, nauczył się obsługiwać tokarkę w fabryce "Waltera". Jego życie toczyło się w rytmie fabrycznej syreny, a nie pór roku. To był koniec epoki. Koniec epopei o ziemi. Ale czy na pewno?

Pamiętam, jak chętnie wracał na wieś. Pomagał przy żniwach, przy kopaniu ziemniaków. Wracał nie tylko po plony – wracał po coś więcej. Wracał do swoich korzeni, do zapachu skoszonej trawy i świeżo zaoranej ziemi. W jego pooranych dłoniach, brudnych od smaru, wciąż była pamięć o ziemi jego ojców.

Patrzę na zdjęcie z pierwszej komunii mojego wujka, Romana Ofiary. Stoi obok swojej mamy, a mojej babci, Heleny. To zdjęcie jest dla mnie jak relikwia. Uchwycono na nim świat, którego już nie ma. Świat drewnianych chat, wiejskich kościołów i ludzi, których twarze naznaczone były ciężką pracą, ale i godnością.

Dzisiaj, siedząc przed ekranem komputera, klikając w cyfrowe archiwa, czuję się jak archeolog odkrywający zapomnianą cywilizację. Każde nazwisko, każda data, każda adnotacja na marginesie – jak ta o zmianie nazwiska Stanisława Ofiary na Borowiecki – to kolejny fragment układanki. Z tych fragmentów buduję nie tylko drzewo genealogiczne. Buduję pomnik. Pomnik dla Tomasza, Zofii, Ambrożego, Kunegundy, Jakuba, Ewy, Józefa i Heleny. Dla wszystkich, którzy żyli, kochali, cierpieli i przetrwali, abym ja mógł dzisiaj opowiedzieć ich historię.

Ich krew płynie we mnie, ich wytrwałość jest moim dziedzictwem. A ta epopeja? Ona nie ma końca. Dopóki ja żyję i pamiętam, rzeki Gierczaków i Ofiar wciąż płyną.